Nr. 8. **Kuryerek Poznański.** Rok 1.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 10. Maja 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

Od Redakcyi.

Zawód pisarski, powiedział niejednokrotnie Kraszewski, jest drogą samych cierni, pasmem ciągłych trudów, znojów i poświęceń; o głębokiéj téj prawdzie naszego koryfeusza na polu literackim nigdyśmy nie wątpili ani na chwilę, lecz z dniem każdym, z każdą chwilą nawet przekonywamy się na nas samych niestety o prawdziwości słów powyższych.

Szczęśliwym, albo raczéj nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, dostaliśmy listy z Ameryki. Osoba która nam te listy powierzyła, dała nam je bez zrobienia jakiejkolwiekbądź uwagi: nie przyszło jéj bowiem na myśl że te listy mogą być drukowane. My zaś byliśmy pewni, że mając te listy w ręku, możemy z niemi robić co nam się podoba i daliśmy je do druku, sądząc że osoby interesowane nie mają nic przeciw temu. Powody wyłuszczyliśmy jasno i dobitnie na samym wstępie, i dziś je powtarzamy: »Redakcya Kuryerka zważywszy na nader niebezpieczną, a obecnie tak mocno grasującą chorobę, szczególniéj między klasą rzemieślniczą jaką jest porzucanie nierozważnie i lekkomyślnie ziemi swych ojców i szukanie szczęścia za górami, drukuje w łamach swego pisma listy polskiego wychodzcy, które wiernie malują nieszczęśliwe położenie naszych rodaków, a dla wszystkich są dostateczną przestrogą.«

Redakcya Kuryerka zrobiła to z czystem sumieniem i nadal zawsze będzie robić podobnie. Jeżeli bowiem jest obowiązkiem każdego człowieka ostrzegać przed grożącem niebezpieczeństwem bliźniego swego, tem więcéj ten obowiązek ciąży na redakcyi dziennika jakiejkolwiek bądź natury.

Redakcya Kuryerka nie zaczepiła żadnych osobistości (jak się to może publiczności zdaje), nie wymieniła żadnych bowiem nazwisk; wykreśleń zaś robić nie mogła, bo zepsułaby się całość tych listów, a o to przecie każdemu wydawnictwu dziennika głównie chodzi. Że się ktoś może czuć dotkniętym, to nie nasza wina; nam się zdaje że gdybyśmy żywcem przedrukowali z książki do nabożeństwa dziesięcioro bożego przykazania, jeszczeby się znaleźli ludzie którzyby do nas się chcieli przyczepić twierdząc: że do nich właśnie są skierowane te słowa: nie kradnij, nie zabijaj i t. d.

Wypowiedziawszy te kilka słów na główną obronę osoby od któréj te listy dostaliśmy, kończymy tą krótką uwagą, że już w żadne tłumaczenia więcéj się nie wdajemy.

Kilka słów
o stowarzyszeniach rzemieślniczych w Europie Zachod.

„Przyszłość do was należy — powiedział Cobden przemawiając raz ostatni do angielskich wyrobników — do was należy niezawodnie, jeżeli zwiążecie się w jedno ciało solidarne, wszyscy, ilu was jest na wyspach Brytańskich i na stałym lądzie, i jeżeli sami wspólnie o sobie radzić, pomagać sobie i opatrywać się będziecie, jako ręka rękę myje. Wtedy przyszłość wasza i świat wasz — wtedy ostatnia godzina cierpień waszych materyalnych, co doskwierają jak trąd, wybije: stowarzyszenie wyzwoli pracę."

Powyższa rada tego męża zdaje się być ostatniem jego słowem. Zaledwie je powiedział rzeszom, oddał Bogu ducha. A ci co go słuchali wzięli się niezwłocznie do obleczenia w ciało jego myśli.

Robotnicy angielscy przysłali francuskim wezwanie do połączenia się w jedno Towarzystwo pod nazwą *Alliance internationale des Travailleurs.*

Do tego towarzystwa zawezwane zostały także Niemcy; a porozumiewanie się ustne jest niezbędne w interesach bieżących, nadto przyczynia się do rozpowszechniania zbawiennéj ustawy. Towarzystwo zarodkowe proponuje *kongres wyrobników*, któryby się zbierał raz do roku w Bruxeli, jako w punkcie środkowym zachodniéj Europy.

Wyrobnicy paryzcy skwapliwie podjęli zaproponowaną spółkę, jak niemniéj wcale nieuciążliwe warunki téjże. Pierwszy zbór będzie tego lata.

Kongres dyplomacyi nie przyszedł do skutku, ale kongres pracy przyjdzie. Poznajomi on Europę z pragnieniami klas roboczych, a zarazem przedyskutuje sposoby, jakich użyć należy do rozwinięcia idei Cobdena, *wyzwolenia pracy przez stowarzyszenie.* Otrzymać kredyt przez assocyacyą, a przez nią korzyść pracy i własności, oto nowa droga wytknięta wyrobnikom przez promotora wolnéj wymiany.

Droga ta prowadzi masy prosto do celu, który chociaż nie jest dla powszechności królestwem Bożem na ziemi, to niezawodnie wydźwignie klasę pracującą z piekła ciągłego niedostatku i upokarzającéj jałmużny, ostatecznie niebędącéj zaspokojeniem potrzeb ubogiego, ale raczéj zaspokojeniem sumienia bogatego.

Nic łatwiejszego do zaspokojenia jak sumienie. Ktoś powiedział, że ono jest sługą naszym. Może nie sługą ale dobroczynnym panem, którego każdy zręczny sługa za nos wodzi.

Owoż na co się zanosi... to spostrzegają nawet ci co w tém upatrują li tylko materyalny postęp.

Na kongresie w Mechlinie (przed ogłoszeniem encykliki) hrabia Montalembert wołał: „Widzę podnoszącą się demokracyą... rośnie, a rośnie... piętrzy się jak morze i wnet wszystko zaleje.“ Teraz świeżo minister oświecenia publicznie wyrzekł te znaczące słowa: „*Le peuple monte.*“ Na Zachodzie nic w tém złego, bo lud tam jest narodem — tylko tam, gdzie nim jeszcze nie został, używać podobnych podniet, jest to zadawać cios téj cywilizacyi, jaka się wyrobiła pracą wieków. Dzieło odrodzenia wprawdzie wstępuje powoli... ale praca cierpliwa, czekała od wieków i czeka, bo wie, że czas wymierzy jéj sprawiedliwość, że przeznaczenie ludzkości nie może się dopełnić bez tego wymiaru. Pęd w tym kierunku co raz szybszy: każdy dokonany postęp jest motorem nowego pomysłu. Wiek ubiegły dał pracy wolność, nasz da i kredyt i kapitał.

Chlebodajne drzewo stowarzyszenia robotniczego kredytu, które w angielską ziemię już zapuściło korzenie, po przez morze wyciąga gałęzie na ląd stały: Francya się doń zapala... tłum patrzy w tę stronę, podnosi spracowane ręce usiłując pochwycić i przygarnąć do siebie choć listek tego drzewa obiecującego trochę cienia, trochę spoczynku na spiekłéj niwie obowiązkowéj pracy bez końca...

Nauczone smutném doświadczeniem, pojmując jaśniéj swój rzeczywisty interes, pełnoletnie rzesze chcą już stać o własnéj mocy, działać o własnéj sile. Znaczącym jest objawem, że odrzucając interwencyą rządu, pomoc i podpory możnych, wszystkie kapitały obce — a upierają się przy tém, żeby w sobie jedynie czerpać środki mające zapewnić przyszłe wyzwolenie.

Doświadczeni wodzowie armii wyrobników paryzkich powtarzają nieustannie młodszym szeregowcom: praca powinna się wyzwolić sama. Pamiętajcie o tém: jak nikt przez prokuracyą zbawionym być nie może, tak nikt nie wyswobodzi robotnika, tylko on sam siebie.

I powtarzając to nowe hasło dorastającéj ludzkości, starsi zbierają grosze ciężko zapracowane odjęte od dziennéj strawy.

Są to tylko grosze — ale te grosze przypominają cudowną historyą zbożowego ziarnka pomnożonego na każdém polu szachownicy.

Należy na tém miejscu przypomnieć dzieje pierwszego, najzasłużeńszego Towarzystwa kredytowego robotników w Anglii. Jakaż w tych początkach wytrwałość obok ubóstwa, jaka moc duszy i zaparcie: rzekłbyś historya nowych apostołów.

W jednem z najzadymieńszych miast angielskich, w Rochedale, powstał pierwszy zarodek tych stowarzyszeń kredytowych coraz liczniejszych.

Było to r. 1844. Dwunastu ubogich tkaczy przywiedzionych do ostatniéj nędzy, zebrało się pewnego zimowego wieczora w izbie bez ognia. Wszyscy dwunastu ojcowie rodzin, wyczerpawszy wszystkie zapasy zeszli się głodni, z rozpaczą w sercu... Pobici żołnierze pracy zeszli się na to, żeby wspólnie ułożyć plan przeciw nieprzyjacielowi.

W téj ciemności, przyszła im do głowy myśl jasna: widzieli, że Robert Owen nie czem innem jak stowarzyszeniem do gruntu poruszył Anglią; że za pomocą stowarzyszenia kapitały pokryły kraj siecią dróg żelaznych, stworzyły wszystko co dziś wielkie i żywotne. Tkacze powiedzieli sobie: zwiążmy i my nasz kapitał, to jest siły nasze w jeden snop, to może będzie zasiew.

Jak rzekli tak zrobili. Zagrzani radzieją rzucili się do pracy przybrawszy nazwę *Rochedale equitable Pioniers.*

Pierwsza suma włożona do wspólnéj kasy tego towarzystwa kredytowego wyniosła dwa *penny* na osobę. W następującym miesiącu towarzystwo liczyło dwadzieścia ośm zakładów i rozpoczęły się dzieje *Pionierów Rochedalskich*, cudowniejsze stokroć od dziejów kompanii indyjskiéj.

Dziś żołądź stała się dębem. Dwa zasiane *penny* zrodziły miliony. Obecnie Anglia posiada przeszło czterysta towarzystw kredytowych wyrobniczych; przeszło sto tysięcy ich członków, robi interesa za sto milionów rocznie, a posiada kapitałów przeszło pięć milionów.

Francya wyrobnicza wyprzedzona w tym kierunku, a zawezwana obecnie do współki, ruszyła hurmem i idzie krokiem podwójnym chcąc odzyskać czas stracony. Pomysł kredytu dla pracy podjęto skwapliwie w Paryżu, Lyonie, Hawrze, Mülhuzie i Grenobli. Zawiązane stowarzyszenia szybko się rozwijają. Jeszcze lat kilkadziesiąt, a stowarzyszenie wyzwoli na zawsze pracę z egipskiéj niewoli staréj służebności.

Grosz.

Gawęda żołnierska.

Otóż był żołnierz prosty co się zowie,
Czyścił armatę, kasernię zamiatał,
A gdy mu czasem musowało w głowie,
To tylko figle markietance płatał,
Lecz na komendę wytrzeźwiał od razu,
I przy armacie stał jak posąg z głazu. —
A miał armatę nieszpetną bestyjkę —
Brzuch miała gruby, wązką, długą szyjkę,
A co połknęła prochu, kul, kartaczy,
Ile plunęła przy każdéj potrzebie,
Zliczyć to wszystko, to tyle co znaczy
Policzyć gwiazdy na lipcowém niebie.
I tak ów żołnierz, a Groszem go zwano,
Przy téj armacie spędził lat niemało,
Choć do żeniaczki nieraz go zmawiano,
Choć nieraz w sercu coś mu zapukało,
Przecież armatkę swoją tak polubił,
Że przy niéj został na wiek wieków amen,
Ją tylko kochał i z nią się zaślubił,
A że z czytania źle mu szedł egzamen,
Pozostał prostym na wiek wieków amen.
Z tego się śmiała kompania cała,
I jego działo groszówką nazwała.
Różnie bywało, jak to w wojnie bywa,
Biło się wrogów i nas także bili,
Raz dobra chwila — a raz nieszczęśliwa,
Raz grzęźli we krwi, a raz grzęźli w błocie,
Lecz ani razu nie grzęźli w sromocie.
Aż dnia jednego przy szturmie Warszawy,
Coś niezwykłego Groszowi się stało, —
Bo od czupryny lunął strumień krwawy,
A gdy się zbudził w szpitalnéj komnacie,
Horrende dictum — było po armacie.
Kilka miesięcy przeleżał w szpitalu,
Wreszcie się zrosły i kości i ciało,
Ale pod sercem coś jeszcze zostało,
Co nie zgoiło ni bólu, ni żalu.
I nieraz siedząc za żelazną kratą,
Płakał Grosz biedny za swoją armatą.
W kilka dni potém o szczudle drewnianém
Chodził Grosz stary po domach Warszawy,
I coś o dziale mruczał ukochaném,
I opowiadał, jak mu strumień krwawy.
Wtém mnóstwo ludzi na ulicy Długiéj
Widzi kaleka i pyta zdziwiony:
Co się to znaczy? — A jeden i drugi
Wskazuje ręką na cerkiew i dzwony,
Które ukryte tam pod złotym dachem,

Dziś poraz pierwszy ozwią się postrachem.
Dzwony, co carską świat zapełnią sławą,
Ulane z armat wziętych pod Warszawą!
Gdy stary żołnierz usłyszał te słowa,
Zdawało mu się, że kraina nowa
Nagle przed jego osłania się okiem;
Spojrzał na dzwony z westchnieniem głębokiém
I rzekł: Mój Boże! to moja armata
Tam w dzwon przelana głosi sławę cara!
Wtém jękły dzwony — głos w niebo ulata,
A razem jękła jakaś pierś stara.
Ucichły tłumy, a na cerkwi progu,
Żebrak o szczudle oddał ducha Bogu.

Wspomnienia
z kampanii roku 1830. i 1831.

przez

Wincentego Pola.

Dokończenie.

III.

Odkomenderowany z pułku na posełkę do sztabu jenerała Chłapowskiego, przybyłem do wielkiego dworu, budowanego z drzewa z okazałym frontonem i kolumnami u przodu. Dwór miał już jak się zdawało pretensyę pałacu, lecz nie był z wierzchu tynkowany, jak najwięcéj dworów szlacheckich na Litwie. Nie wiem jak się nazywała ta wioska, bo ledwo miejsca gdzie stoczono bitwę lub potyczki pamięta się w kampanii; pod frontonem stał szef sztabu, u którego się meldowały posełki, tam téż i ja się udałem, upiąwszy u sztachetów konia; szef sztabu nie miał mi nic do powiedzenia i nakazał tylko abyśmy byli pod ręką — był tedy czas popaść konia i rozpatrzeć się w miejscu. Za pałacem rozciągał się wielki ogród, szpalerami starych lip obsadzony, a że to wiosna była i słowik jeszcze śpiewał, udałem się do ogrodu, gdzie w ciemnym szpalerze stał furgon jenerała Chłapowskiego i gdzie ludzie jego wierzchowe konie posiodłane trzymali. Dziwnie uderzył mię ten tabor, gniady koń arabski jenerała, szczególnie zaś furgon, przy którym warta stała, bo w nim bywała i kasa korpusu — cały furgon był zakryty skórą z żubra, a przy skórze zostawiono racice i cały łeb żubra, z kędzierzawą grzywą, okazałą brodą i prześlicznemi nogami. Łeb zwieszał się z furgonu i okazalszego rydwanu nie widziałem jak żyję; był to prawdziwie królewski furgon, nakryty skórą króla puszczy.

Powróciwszy z ogrodu do sztabu, zapytałem jednego z sztabowych oficerów zkąd tę z żubra skórę dostali; bo lubo już wyschnięta, nie była wyprawiona i widocznie świeża. Tu usłyszałem taką historyę: Brzegiem białowiezkiéj puszczy przesunął się korpus jenerała Chłapowskiego na Litwę i na jednéj stacyi przeszedł do jenerała leśnik uzbrojony dobrą strzelbą i oświadczył że chce iść do powstania.

— Dobrze, rzekł jenerał, i polecił żeby go zapisać, i żeby razem z innymi wykonał przysięgę. Gdy go jenerał krótko odprawił, nie chciał odchodzić, ale stoi nieśmiało w miejscu i zapyta:

— Czy wy starszy dobrodzieju?

Jenerał począł się niecierpliwić.

— Ależ bo ja nie darmo pytam; mam żonę i dzieci i chciałbym z wami pójść do powstańców, ale w domu nie mam nic, prócz soli; otoż proszę was, pozwólcie mi zabić żubra, to ja go nasolę i nie będzie w domu głodu aż przepędzimy Moskali.

— A mnie co do tego? rzekł zniecierpliwiony jenerał.

Z zadziwieniem spojrzał leśnik na jenerała.

— Jakto? zapytał, ja myślał że wy to już na siebie odbieracie, to się dozwalam czy w puszczy żubra zabić wolno, bo to wielka kara u nas za to.

Spostrzegł się jenerał że niebacznem słowem mógł tu zwichnąć zaufanie ludu. Jak zawsze przytomny i trafny w odpowiedziach swoich, rzekł:

— Wydać kwit na jednego żubra, ale skórę oddać mi całą, odeszlę ją do gabinetu warszawskiego.

Zaledwo można sobie wyobrazić radość sztabowych oficerów, gdy jenerał na zabicie żubra zezwolił. Litwin wskazał w stronę puszczy i rzekł:

— Jak usłyszycie strzał, to przybywajcie co prędzéj, a będziecie widzieć żubra.

Jakoż gdy usłyszawszy strzał na koń siedli i ruszyli oficerowie sztabowi, spotkali już na drodze lecącego leśnika, bez czapki z rozczochranemi włosami i z rozognioną twarzą, który do nich krzyczał:

— Jest! jest! i lecąc przed końmi prowadził ich na miejsce gdzie żubr sztofem powalony leżał; z rany otwartéj płynął jeszcze strumień krwi, strzał ugodził w samo serce. Tak się dostała skóra owego żubra na jeneralski furgon, a leśnik nasoliwszy mięso, zjawił się po dwu dniach znowu w obozie, który był się już odsadził znacznie od białowiezkiéj puszczy.

Około jedenastéj godziny ukazał się jenerał przed gankiem; adjutant od służby ustawił posełki w szeregu a jenerał przejrzawszy szereg rzekł do mnie:

— Jak się masz — chodź!

I udałem się za jenerałem do pokoju. Tu stał żyd, blady i widocznie przestraszony, a jenerał rzekł do mnie:

— To przewodnik. — Tu depesze — oddasz je jenerałowi Dembińskiemu; w Leoniszkach stał jeszcze wczoraj.

A po francusku dodał:

— Nie mam wiele zaufania do tego żyda; dziesięć rubli mu dasz jeśli cię przeprowadzi, i tu wręczył mi jenerał owe dziesięć rubli; jeżeli nie będzie chciał lub mógł, to radź sobie.

Jeden z adjutantów wyprowadził żyda i nie wzbudzało to wiele zaufania gdym do stajni sztabowéj wszedł, gdym widział że żydowi pod koniem nogi związano na siodle, a mnie dano cugiel w ręce. Gdym około mego pułku przejeżdżał, zapytał mię major Hordyński niecierpliwie:

— Cóż to za ekspedycya?

— Do Leoniszek, odpowiedziałem, z depeszami.

— Puść żyda! rzekł major; ja dam bezpiecznego człowieka, co cię do Leoniszek lasami przeprowadzi.

Puściłem żyda, a dobrze znany mi żołnierz z pułku naszego ruszył ze mną zaraz za wsią na manowce w lasy.

Zmierzchać już się dobrze poczynało gdy się górą przetarła puszcza i gdyśmy przed sobą ujrzeli pasiekę, chatę i poletki, żołnierz zostawił konia przy mnie, pałasz, lancę, okrył się sieraczkiem i obejrzawszy pistolety w pasie podsypał je nanowo i zwrócił się do chaty; po chwili wyszedł z leśnikiem, rozmawiając spokojnie i w téj to chacie wypadło nam podnocować — bo daléj były tak grząskie błota, tak przepaściste rojsty, że na naszych koniach jechać już nie można było; leśnik tedy ugościwszy nas i umieściwszy nasze konie w szopie, udał się do sąsiedniego zaścianka i sprowadził około północy trzy konie okulbaczone lekkiemi łęgami, na których daléj nam się przeprawiać wypadło. Gospodarz nasz dostał także języka w téj drodze o Moska-

lach a kiedy powrócił był bardzo dobréj myśli i zapewniał że się najkrótszą, ale bardzo złą drogą do Leoniszek dostaniemy bezpiecznie. Po wieczerzy z wieczora usnąłem był trochę, wszakże gdy nasz gospodarz około północy z końmi powrócił, ozwały się nasze konie rżeniem i zerwałem się z ławy na któréj gospodyni z wieczora wyścieliła była łoże. Oba z żołnierzem wypadliśmy do sieni, ale poznawszy gospodarza, widzieliśmy że to płonny postrach.

— Jeszcze do dnia kawałek, rzekł nam gospodarz; nim się śniadanie uwarzy, spocznijcie jeszcze trochę.

Żołnierz mój wyszedł do koni a powróciwszy drzemał razem z gospodarzem koło pieca. Mnie już nie było do snu i leżąc na ławie patrzyłem na rządy naszéj gospodyni.

Już z wieczora rozczyniła była na chleb, a teraz poczęła w piecu palić, kiedy u stóp moich w szczelinie chaty zatknięta łuczyna słabo oświecała izbę. Co chwila, gdy się dopalała, zakładała gospodyni nową i błękitny dymek z łuczyny przeciągał się równą warstwą ku ognisku. Widocznie pozbawiliśmy tych dobrych ludzi snu; wcześniéj pobudziły się dzieci drobne z płaczem i obsiadły niewiastę, która je przymatulała do siebie. Dzieciom się zdawało że to już dzień, więc odziała je potem w koszulki, podpasała każde i klękła z niemi do pacierza. Nie umiem wyrazić jakie wrażenie obudził we mnie ten pacierz po litewsku mówiony, ale czułem to że go Bóg słucha. — Nie umiem wyrazić jakie wspomnienia z młodości obudził we mnie.

Zmówiłem pacierz, którego już od dawna nie mówiłem, nie dla tego żebym nie był myślał o Bogu, ale dla tego że nie było czasu zmówić pacierza przy pułku; w pułku naszym śpiewały szwadrony zawsze w marszu godzinki, jeśli śpiewać było wolno w marszu. Ale do porannych i wieczornych pacierzy nie było czasu. Jak rosa niebieska tak odwilżył duszę moją ten pacierz dzieci w chacie leśnika i uczułem to głęboko że źródłem wszelkich cnót jest ognisko domowe i ten pacierz, którego się przy matce uczy dziecię. Gorąco tedy modliłem się wówczas, nie prosząc ani o zwycięstwo oręża naszego, ani o życie i zdrowie, ale o to jedynie aby Bóg lud ten w wierze utwierdzał i na losy jego wejrzał.

Śniadanie było już gotowe i podpłomyki piekły się przed piecem, gdy się znowu podniósł gospodarz i wyszedł do koni, już też i dnieć poczynało i pąsowo zaczęło się malować okno chaty. Okno bowiem nie było szkłem założone, ale przezroczystemi gontami żywicznéj sośniny. Po raz pierwszy opatrzyłem się tak w chacie dokładnie. Wieniec czosnku był przewieszony na oknie, jak mi mówiono, od powietrza a właśnie panowała wówczas cholera. Na pułce nad piecem spały dzieci, między oknem był nakryty stół a na nim leżał miód, chleb i sól. Wyżéj trochę na ścianie obraz Matki Boskiéj. Ubrałem się i kiedym stanął przed chatą spiął się do mnie z przyspy wąż.

— A kysz! a kysz! zawołała gospodyni, trąciła z lekka węża i napowrót wsunął się do nory, który pilnował chaty i obcemu wnijścia wzbraniał, równie jak pies domowy.

Do razu tedy ujrzałem się w Witołdowéj Litwie, woniejącéj smołką; bo cała Litwa pachnie wonną smołką, albo dymem smołki — woń tę czujesz w żywicznych lasach, w polach i przy zbliżeniu się do sadów.

Sam dziś tego nie pojmuję jak w owych czasach można było robić tego rodzaju postrzeżenia; zapewne dla tego że litewski lud i życie jego jest tak zupełnie odmienne od fizyonomii reszty naszych ziem i krajów.

Pożegnawszy gospodynię naszą ruszyliśmy przed wschodem słońca daléj. Tu podziwiać przyszło rasę litewskich koni; przesiadłszy się z naszych rosłych na nie, nie czuliśmy prawie jak nas przez bagna niosły, krocząc tam po wierzchu, gdzie nasze luźne konie częstokroć po brzuch zapadały.

Około dziesiątéj godziny z rana przybyłem do Leoniszek i zastałem jenerała Dembińskiego we dworze. Na krańcu lasów pożegnał nas nasz przewodnik i wskazał nam tylko Leoniszki. Siadłszy na jednego konia, puścił dwa drugie luzem i szły powolnie za nim.

Od jenerała Dembińskiego dowiedziałem się że idziemy na Szawle i że napowrót do jenerała Chłapowskiego powracać nie mogę, bo pomiędzy korpusami obudwoma są już Moskale; jakoż tu dopiero dowiedziałem się żeśmy się przeprawili w pobliżu moskiewskiego obozu, o czém nam przewodnik ani słowa nie mówił. Zostałem tedy przy sztabie jenerała Dembińskiego i nazajutrz ruszyliśmy ku Szablom.

Ceny targowe w Poznaniu 5. Maja. 1865.

	Od tl.	Od sr.	Od fn	Do tl.	Do sr.	Do fn
Pszenica piękna, szefel po 16 garncy .	2	3	9	2	7	6
Pszenica średnia	2	—	—	2	2	6
Pszenica ordynaryjna	1	25	—	1	27	6
Żyto przednie	1	12	6	1	13	9
Żyto lżejsze	1	10	—	1	11	—
Jęczmień duży	—	—	—	—	—	—
Jęczmień mały	—	—	—	—	—	—
Owies	—	—	—	—	—	—
Groch do gotowania	—	—	—	—	—	—
Groch na paszę	—	—	—	—	—	—
Rzep zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzep latowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik latowy	—	—	—	—	—	—
Tatarka	—	—	—	—	—	—
Koniczyna czerwona, cent. 100 fnt. . .	—	—	—	—	—	—
Koniczyna biała	—	—	—	—	—	—
Ziemniaki, szefel	—	14	—	—	15	—
Masło, garniec	2	15	—	2	20	—
Siano, centnar	—	—	—	—	—	—
Słoma, kopa po 100 fnt. w. z. c. . .	—	—	—	—	—	—
Olej rzepiowy, cent. po 100 fnt. . .	—	—	—	—	—	—
Spirytus, beczka 100 kwart, 80 st. Tral.	12	18	9	12	22	6

☛ Prenumeratę na Kuryerka Poznańskiego przyjmują: **Redakcya**, ulica Strzelecka Nr. 1.; p. kupiec **Kirszenstein**, ul. Wrocł.; p. księgarz **Kejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; p. prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; p. kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; p. kupiec **Cichowicz**, ul. Berlińska; p. cukiernik **A. Szpingier**, naprzeciw poczty; p. **Ernest Malade**, ul. Frydrychowska Nr. 19.; kupiec p. **P. Nowicki**, ulica Wrocławska Nr. 9.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni M. Zoerna w Poznaniu.